

Jacek Karpiński

część I z VI

Sygnatura notacji: **N0203**

Data urodzenia: **09.04.1927 r.**

Data nagrania: **11, 14.09.2008 r.**

Miejsce nagrania: **Dom świadka, Zakopane, Polska**

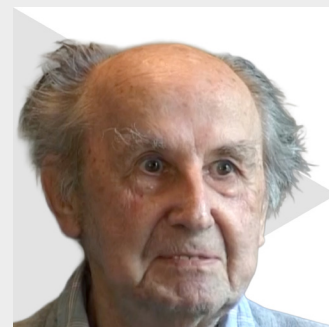
Prowadząca/y rozmowę: **Anna T. Pietraszak**

Czas nagrania: **część I: 58 min, część II: 59 min, część III: 59 min,**

część VI: 59 min, część IV: 37 min, część V: 52 min,

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Jacek Karpiński: Urodziłem się dziwnie w Turynie, we Włoszech. Miałem się urodzić na Mont Blanc, ale mama w ostatniej chwili zrezygnowała, bo wszyscy znajomi, przyjaciele w szpitalu, w którym mama miała praktykę, po studiach, powiedzieli, że to jest po prostu wariactwo. W związku z tym w ostatniej chwili, dobrze, to normalnie, w klinice. Tam byłem rok, bo moja mama była na praktyce w szpitalu, a ojciec na praktyce u Fiata po Politechnice Warszawskiej. Przyjechaliśmy do Polski, najpierw do Białej Podlaskiej, gdzie ojciec był konstruktorem samolotów, a później, w 1934 roku, przenieśliśmy się do Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego, CIWF, w tej chwili od dawna już nazywa się Akademia Wychowania Fizycznego, AWF, w Warszawie. Tam mama była lekarką. A ojciec pracował w PZL-u, ale tak naprawdę to pasją ojca były góry. I wyjeżdżał, miał jakąś taką pracę wspaniałą, brał urlopy bezpłatne i wyjeżdżał, to w Tatry, to w Alpy, to w Andy, to w Himalaje, ciągle gdzieś się wybierał. No a ja od zarania młodości byłem w górach właściwie. Bo jak pamiętam... nie tyle pamiętam, co z opowiadań mojej babci, ale jak miałem dwa lata, to ojciec moją mamę w celu hartowania mnie zamieszkali na tydzień w Kolibie po prostu. Na wiosnę w dodatku. Zimno było jak nie wiem co, jeszcze śnieg tu i ówdzie, a ja, dwuletni smarkacz, tam... i myty byłem w potoku. To pamiętam nawet. Przeżycia duże. No i jak wróciliśmy, to babcia pyta: „Jacusiu, a jak tam było?”, A ja: „Brr!”. No i tak było. Ale później przynajmniej dwa miesiące w roku spędzałem w Tatrach, zarówno w schroniskach, jak... ale głównie to w namiotach właściwie, już nie w Kolibie, ale w namiotach. I było naprawdę wspaniale. Jak byłem troszkę starszy, już miałem siedem lat, to ojciec zabierał mnie na wspinaczki i wybrał się ze mną na Mnicha. I ja muszę się przyznać, że... Tam jest taki jeden trawers, taki dosyć eksponowany, jak dziś go pamiętam, tam się obchodzi z lewej strony taką ściankę, trzeba być przytulonym do tej ścianki. I ja tam się bałem przejść. A ojciec mówi: „Ja nie będę pomagał”. Ja tam stałem, stałem, stałem i mówię, nie. A ojciec powiedział: „Dobrze, jesteś jeszcze za mały. Wrócimy tutaj później”.

I jak miałem dziesięć lat, poszliśmy znowu i tam przyszedłem wtedy. No i byłem na Mnichu. I to bez przeciągania, bez niczego, sam, samodzielnie. Oczywiście z asekuracją, ale tak normalnie. W ogóle byłem chowany tak, żeby być dzielny. Polegało to na tym, że jak miałem cztery lata chyba, to ojciec pojechał ze mną i z mamą nad Wisłę, wtedy Wisła była czysta, i była taka odnoga Wisły o małym prądzie, i wrzucił mnie do wody po prostu. I mówi: „Wszystkie zwierzęta potrafią pływać, nieuczone, to i dziecko też potrafi pływać”. No i ja się jakoś wyratowałem pieskiem z tego. Moja mama mówi: „Adam, co ty robisz?”. A ja dopłynąłem do brzegu. Pamiętam, jak miałem dziesięć lat, stale chorowałem na gardło. Miałem migdały powiększone. I była wtedy moda wycinania trzeciego migdała. Teraz już tego nie robią, ale dawniej była taka moda. A to była paskudna operacja, ponieważ to po prostu na żywo wrywanie tego. Krew się leje... A mój ojciec powiedział: „Jacek, jak będziesz dzielny i nie będziesz piszczał, to dostaniesz kajak. Jednoosobowy kajak na siebie”. Ja mówię, dobrze. Przeszedłem tę operację, krew się lała, ale ja nie pisałem. Dostałem ten kajak. Ale mówi: „To jest niebezpieczne. Kajak jest wywrotny, bo jest jednoosobowy”. „Delfin” się nazywał. Składak. „Musisz pokazać, że umiesz się wyratować”. To pojedziemy nad Wisłę, wypłyniesz na nurt, wyrócisz się i doholujesz kajak do brzegu. A ja miałem dziesięć lat. I tak zrobiłem. Doholowałem, to ojciec powiedział: „Dobra, teraz już możesz pływać kajakiem”. Nie mówiąc już o tym, że samochodem kierowałem od czwartego roku życia. Była taka cytrynka. A ja jeszcze wtedy byłem z ojcem w Białej Podlaskiej, ojciec pracował na lotnisku. I ja siadałem za kierownicą, ojciec obok, wyjeżdżaliśmy na lotnisko, ustawiał ojciec gaz, bo ja do pedałów nie sięgałem oczywiście, tylko kierownicę, i ojciec wyskakiwał, szedł do pracy, a ja jeździłem po tym lotnisku. Sam. I ojciec później wskakiwał i zabierał mnie. Ale jak miałem siedem lat, to już samodzielnie. Mieliśmy taką DKW. Samodzielnie już prowadziłem. Jak miałem dziesięć lat, to już mogłem osobiście kierować 100 kilometrów na godzinę. Powiedział: „Teraz już możesz nawet sto. 100 kilometrów jeździć po szosie”. I jeździłem.

Anna T. Pietraszek: Czy pamięta pan, że uważał pan to jako dziecko za zupełnie oczywiste, że takie próby pan dostaje?

Jacek Karpiński: Że co? Bo ja słabo słyszę.

Anna T. Pietraszek: Czy uważał pan wtedy, że to jest wszystko zupełnie oczywiste, że skoro ojciec takie próby panu udaje, to tak trzeba?

Jacek Karpiński: No tak.

Anna T. Pietraszek: Nie bał się pan?

Jacek Karpiński: Nie, ja byłem bardzo zadowolony. Jak miałem dziesięć lat, to też ojciec miał motocykl i ja na tym motocyklu jeździłem sam. To była 250-ka. Ciężki motocykl. I sam jeździłem po AWF-ie. Moja mama tylko bała się i ciągle protestowała, że, „Adam, on jest za mały, naprawdę to jest niebezpieczne”. Ale jakoś ojciec ją przekonywał i jeździłem sam. No i później, jak miałem dwanaście lat, to ojciec wyjeżdżał w Himalaje. Ale ojciec wyjeżdżał wiosną, później wiosną, w 1939 roku, a zginął 19 lipca, tuż przed wojną.

Anna T. Pietraszek: A czy te przygotowania, ten pomysł wyprawy w Himalaje, – czy to pan pamięta?

Jacek Karpiński: Pamiętam. To im więcej szczegółów, tym lepiej. Pamiętam. Bo przygotowania były duże. Pamiętam, że ojciec starał się o fundusze, dawał plany w towarzystwie, Tatrzańskie Towarzystwo to się nazywało. Ciągłe słyszałem rozmowy, że są trudności z funduszami. No i w końcu było mało funduszy, i Klarner, Janusz Klarner... Bo wszyscy uczestnicy przychodzili do nas, do domu, do AWF-u, i rozmawiali, uzgadniali tam różne rzeczy i tak dalej, i ponieważ Klarner był, jak to się mówi, z bogatej rodziny, to powiedział, że cały jego koszt on pokrywa sam. Tym bardziej, że wszyscy byli zaprawieni taternicy, bo Jakub Bujak i Bernardzikiewicz byli już znanymi taternikami i alpinistami, a Janusz był dopiero początkującym taternikiem. I nawet pamiętam, były pewne opory Towarzystwa, czy on jest dobrym kandydatem na taką wyprawę. Ale mój ojciec powiedział, że on jest bardzo zdolnym taternikiem i po prostu ma charakter odpowiedni.

Anna T. Pietraszek: Ojciec był wśród tej ekipy najstarszy, najbardziej doświadczony?

Jacek Karpiński: Tak.

Anna T. Pietraszek: A skąd powstał ten pomysł? Czy ojciec może to opowiadał?

Jacek Karpiński: O tak. Bo w ogóle ojciec chciał zdobyć Everest. To było marzenie jego życia. Jak Irvine i Mallory zginęli, przepadli bez wieści, to było pytanie, czy oni zdobyli Everest i w drodze powrotnej nie doszli czy zdobyli jednak. Ale mój ojciec był, jak by to powiedzieć, zauroczony myślą, jak to pięknie, że oni może zdobyli ten Everest i polegli.

Anna T. Pietraszek: Czyli raczej tak myślał? Wierzył, że oni weszli na szczyt?

Jacek Karpiński: Nie to, że wierzył, ale chciał wierzyć. Chciał wierzyć i mówił, że to by było piękne, gdyby oni weszli i zginęli. I powiedział, że właściwie to... Celem jego życia był właśnie Everest. I wiem, że starał się zorganizować wyprawę na Everest. Starał się, ale nic z tego nie wychodziło, bo jakoś pozwolenia nie było, a to funduszków nie było, a to to, a to to, a to owo. Ale w końcu dostał pozwolenie właśnie na Nanda Devi. Bo to nie jest tak, znaczy tak nie było, nie wiem, jak teraz jest, ale nie można było organizować wyprawy tam, gdzie się chciało. Do Nepalu, do Tybetu. Tylko trzeba było dostać pozwolenie, wtedy od Anglików. No i po dwóch latach chyba dostali to pozwolenie na Nanda Devi akurat. A to był też piękny szczyt, bo niezdobyty, wysoki, dosyć trudny, i był obserwator ze strony angielskiej, mister Black, i była piękna wyprawa. Z tym że dla mojego ojca układało się od samego początku nie bardzo dobrze, ponieważ dostał dezynterii.

Anna T. Pietraszek: Ale mówimy już o wyprawie? – Na wyprawie już, tak? –

Jacek Karpiński: Na wyprawie, tak.

Anna T. Pietraszek: A jaka to była osoba, jaki miał charakter, usposobienie, jakieś upodobania?

Anna T. Pietraszek: Na codzień, jaki był w domu? Jaki był w domu?

Jacek Karpiński: Był zawsze pogodny, ale poważny. Był poważny, ale bardzo pogodny. I wiecznie miał głowę zajęętą jakimiś wynalazkami. Stale robił wynalazki. Tylko miał jakiegoś pecha, że te wynalazki nie były doceniane. Bo chyba w 1926 roku ojciec zaprojektował... nawet wcześniej chyba niż w 1926 roku, zaprojektował samolot, dolnołat. Bo do tej pory budowano górne skrzydła. A ojciec zaprojektował dolnołat. I udowadniał, że tak będzie lepiej. Tak jak w tej chwili już wszyscy robią. I kierownictwo PZL-a i wszyscy inni powiedzieli, że to jest niemożliwe, bo samolot się przewróci do góry kółkami, to będzie niestabilne i tak dalej. Dopiero parę lat później Niemcy zbudowali dolnołat. Ojciec zaprojektował samolot na kilkaset osób. Wtedy największe samoloty pasażerskie brały osiemdziesiąt. To były lata 20. Było czterdzieści, sześćdziesiąt, osiemdziesiąt miejsc najwięcej. Ojciec zaprojektował chyba na 400 osób samolot. To zostało odrzucone jako marzenie ściętej głowy. W związku z tym ojciec się przerzucił na projektowanie sprzętu. taternickiego, alpinistycznego i tak naprawdę śpiwór to wynalazek ojca. Tak zwane rakobuty, wynalazek ojca. Ostateczny kształt czekana, też to był wynalazek ojca. Później przejęty przez Austrię, Czechy, ale dawniej czekany były zupełnie inne. Różne peleryny takie wykombinował, namiot, kilka namiotów, zarówno domkowy, jak i taki półokrągły. To też wszystko wynalazek ojca był. Do tego dobierał różne nowe tkaniny, na przykład płótno balonowe, miał współpracę z fabryką balonów w Legionowie, wynalazł narty wodne tak zwane, ale to nie miało nic wspólnego z obecnymi nartami wodnymi. To były tak jakby małe kajaki, tylko niesymetryczne, w które wkładało się nogi, i te kajaki miały takie płetwy, i posuwało się na tym, chodziło się po wodzie po prostu. Mieliśmy film. Niestety wszystkie takie pamiątki zniszczyli Niemcy, ale mieliśmy film, że ojciec chodził po wodzie i odpychał się takimi kijkami, też z takimi parasolkami jak gdyby. Miał mnóstwo różnych pomysłów. a w ogóle to jak tylko mógł, to wyjeżdżał w góry.

Anna T. Pietraszek: A mama? Jaka była mama?

Jacek Karpiński: A mama była bardzo podobna. Bo też była niesłychanie pogodna. Była lekarzem. Pod koniec była profesorem medycyny i dziekanem AWF-u. Ale w ogóle generalnie to była po prostu niezwykła kobieta, muszę powiedzieć. Bo po pierwsze była bardzo piękna, wysportowana, ona miała chyba wicemistrzostwo Polski w narciarstwie biegowym, w biegach narciarskich. Świetnie pływała. W ogóle jeździła na nartach doskonale. A zresztą nas rodzice zabierali na narty. Od zarania młodości mojej ja jeździłem na nartach, po Tatrach. Nawet mam zdjęcia na nartach, moje z ojcem. Jakoś się uchowało, jedno jedyne. Moja mama była bardzo mądra. Ale pogodna, miła, taka bezpośrednia. Była świetnym lekarzem, ale jako człowiek właśnie była bardzo mądra. A słyszałam, że prowadziła jakieś badania nad wpływem wysokości na organizm człowieka. Tak, prowadziła. Ale wyników tego nie znam. Ojciec prowadził badania aerologiczne i aerodynamiczne, a mama właśnie wpływ na organizm. Ale szczegółów ja nie pamiętam. A mówi pan: „Zabierali nas na narty”.

Anna T. Pietraszek: To kogo zabierali? Miał pan rodzeństwo?

Jacek Karpiński: Tak. Miałem siostrę o sześć lat starszą z poprzedniego małżeństwa mojej mamy i miałem brata trzy lata młodszego ode mnie. Z siostrą wyjeżdżaliśmy rzadko, bo ona miała swoje towarzystwo, bo już była starsza, natomiast „wyjeżdżaliśmy” to znaczy ja z moim bratem. Marek. Też zginął w Tatrach.

Anna T. Pietraszek: Kiedy? –

Jacek Karpiński: W 1957 roku. Podobno dokładnie w tym samym dniu, kiedy... Dokładnie. To proszę opowiedzieć o bracie. Jaki był? Mój brat miał zupełnie inny charakter niż ja. On był taki raczej zamknięty w sobie. Ja byłem złośliwy, a on cierpliwy do pewnego stopnia, a później wpadł w szal. Stawał się okropnie nerwowy, jak ja mu zanadto dokuczałem. A ja, muszę powiedzieć, byłem paskudny, jak byłem młody. Po prostu parszywy charakter. Parszywy charakter. Strasznie lubiłem dokuczać ludziom i robić psikusy głupie.

Anna T. Pietraszek: Na przykład?

Jacek Karpiński: Ach, to już wstyd się przyznać. Tysiące różnych głupich dowcipów. Jak dzwonienie na przykład do sąsiadów, wkładając zapałkę do dzwonka, żeby nie mogli wyjść, to dzwoniło bez przerwy. Jak wrzucanie jakichś os przez otwarty lufcik. Też na śniegu biegałem.

Anna T. Pietraszek: Brat był taki zamknięty, inny zupełnie?

Jacek Karpiński: A Marek... Nie no, Marek na wycieczkach to był taki fajny, ale nastąpił przełom. Jak ja miałem osiemnaście lat, a Marek piętnaście, to nastąpił przełom. Bo biliśmy się okropnie. Tak żeśmy się walili jak nie wiem co. A potem nastąpił przełom, ponieważ byliśmy już mocni i te bitki mogły się skończyć fatalnie. I pogodziliśmy się, i od tego czasu była wielka przyjaźń, po prostu czysta przyjaźń, i bardzośmy się lubili. Właściwie nie rozstawaliśmy się w ogóle. To znaczy ja chodziłem na politechnikę, on jeszcze do szkoły, później ja pracowałem, on na politechnikę, ale każdą wolną chwilę spędzaliśmy razem. Na wycieczki co tydzień na weekendy wjeżdżaliśmy razem. Zresztą z naszym takim przyjacielem, Józiem Lityńskim. We trójkę żeśmy normalnie... Na rowery, kajakiem, w góry, na narty. Wakacje spędzaliśmy albo na spływie kajakowym, miesiąc, z własnym zaopatrzeniem oczywiście, z gotowaniem w rondelku na drucie i tak dalej, albo na rowerach. Miesiąc rajd rowerowy po lasach. Też z własnym zaopatrzeniem, z namiotami. Tak że stale razem żeśmy byli i w 40. i 50. latach wyjeżdżaliśmy w góry. Bo było tak, że ja w powstaniu warszawskim dostałem postrzał, kulę z PM-a, dosyć duża kula, kaliber 9. Dostałem z góry, z piątego piętra czy z szóstego strzelali. I weszła do końca kręgosłupa, do miednicy aż, i byłem sparaliżowany kompletnie. Ale w 1945 roku, tuż po wojnie... wojna się zakończyła w maju, a my chyba w lipcu pojechaliśmy we trójkę właśnie, Marek i Józek, pojechaliśmy z Warszawy pociągiem. Pociąg jechał do Zakopanego 24 godziny. I wtedy jedzenia nie było. Były tylko paczki Unrra. Takie amerykańskie, bardzo dobre zresztą, konserwy. No ale jedzenia dużo nie było, ubrania nie było, namiotów nie było, nic nie było. To z amerykańskiego pontonu, który był w zestrzelonym samolocie, zrobiliśmy taki namiot. Dnem do góry, przecięliśmy worki i to była taka osłona. Tylko mieliśmy dwa koce, ale w Krakowie ruscy żołnierze weszli do pociągu i ograbili wszystkich. I nam zabrali wszystko, cośmy mieli właściwie, z wyjątkiem tego pontonu. Koce, ubrania, jedzenie. Banda była taka... Wróćmy jeszcze na chwilę do 1939 roku, bo został nam ten wątek bardzo ważny i dramatyczny, jak ojciec już pojechał na wyprawę.

Anna T. Pietraszek: Czy było jakieś specjalne pożegnanie tej wyprawy? Gdzieś byli odprowadzani uroczyście?

Jacek Karpiński: Było w domu, tak. Było takie spotkanie uczestników i taka uroczysta kolacja i tak dalej, ale później na dworcu w Warszawie. Była delegacja. Myśmy byli też tam. I ja jeszcze muszę powiedzieć, mój ojciec bardzo wiele wagi przywiązywał do symboli pewnych. Do symboli. I mówił, że bardzo wierzył na przykład w podświadomość. W ten drugi, ważniejszy jeszcze, rozum człowieka, który jest ukryty, i zawsze mówił, że to jest przedświt. Jego symbolem był przedświt. A ja pójde trochę wyżej. O mnie mówił. I znak ojca to był przedświt, to było kółko, a nad tym kreska. Słońce pod horyzontem. Słońce pod horyzontem. Pamiętam, w ogródku też zrobił taki klomb z przedświtem. Koło i nad tym kreska duża. To było duże bardzo. Tam osiem metrów. I miał pewne przesady. Na przykład... On nas bardzo kochał, i mnie, i mojego brata, ale nigdy nie pocałował. Znaczący całował w czoło. Nie, nie, przepraszam. W ogóle. On nas nie całował. My mogliśmy ojca pocałować w czoło. To koniec. Nie było tam żadnego takiego przytulania, tamtego, nie. A bardzo nas kochał. Opowiadał wspaniałe historie, bajki na dobranoc. I na tym pożegnaniu na dworcu w ostatniej chwili przed wejściem do pociągu ojciec nachylił się i mnie pocałował. I moja mama krzyknęła: „Adam!”. Bo ojciec wierzył, że to będzie nieszczęście. No i nie wrócił już. No i nie wrócił.

Anna T. Pietraszek: A jak przyszła ta wiadomość, jak jako dzieci czekaliście na wiadomości z wyprawy? Przychodziły listy?

Jacek Karpiński: Przychodziły listy, tak. I ostatni jego list był... On pisał listy do mojej mamy i osobno do mnie, do Piszki i do Marka. Raz do Marka, raz do mnie. I ostatni jego list był... Bo jak ojciec wyjeżdżał, to ja skończyłem wtedy sześć klas szkoły i miałem zdawać do gimnazjum. I miałem zdawać do jednego z najlepszych gimnazjów w Warszawie, Towarzystwa Mazowieckich w Warszawie. I to był bardzo trudny egzamin. A ja muszę powiedzieć, że aczkolwiek byłem bardzo zdolny i do matematyki, i do różnych innych tam... miałem świetną pamięć, to nie byłem zanadto pilnym uczniem. I w szkole miałem takie średnie stopnie. Bo nie chciało mi się robić obrazków różnych ani mapek. Ale ojciec wierzył, że ja... Miałem wstępny egzamin i wypadł na piątkę, taki selekcyjny jeszcze, i ojciec mówi: „No widzisz, jak chcesz, to potrafisz”. Ale ten główny egzamin to już był, jak ojciec wyjechał. I ja zdałem na bardzo dobrze. Mama napisała ojcu i w ostatnim liście właśnie gratulował mi.

Anna T. Pietraszek: A pamięta pan, jak pan czekał na powrót ojca?

Jacek Karpiński: My akurat byliśmy u rodziny w Makowie Podhalańskim, mieliśmy tam być do końca lipca. I nagle, nie pamiętam, czy 22 czy 23 lipca, mama wezwała nas do Warszawy, nie mówiąc, dlaczego. Przyjechaliśmy i mama wzięła nas obu pod rękę, i mówi: „Ojca już nie ma”.

Anna T. Pietraszek: Pamięta pan ten moment dokładnie? –

Jacek Karpiński: Słucham? –

Anna T. Pietraszek: Jak pamięta pan – ten moment dokładnie? –

Jacek Karpiński: Pamiętam dokładnie, tak. Bardzo dokładnie.

Anna T. Pietraszek: Jak to było? W jakim pokoju? Jak reagowała?

Jacek Karpiński: Wzięła nas do pokoju jadalnego, tam posadziła na kanapie, przygarnęła nas i mówi: „Ojca już nie ma”. I to było wszystko. Myśmy popłakali. Ale później, pamiętam... obok naszego domu miał... to była willa na Wierzbnie, na Dolnym Mokotowie. Obok mieli mieszkanie rodzice ojca. Moja babcia i dziadek. I dziewiętnastego w nocy, znaczy dwudziestego rano, moja mama obudziła się, ale mówiła, że w nocy ukazał jej się ojciec. W białej szacie takiej. Nie pamiętam, co dokładnie powiedział. Że kocha i że... I pożegnał się właściwie. I babcia przychodzi rano do mojej mamy i mówi: „W nocy ukazał się Adam mi, w białej szacie, i powiedział: »Dziękuję ci, matko«. I znikł”. I mama mówi, że tak samo było. Niech każdy sądzi o tym, co chce, ale tak było. One niezależnie od siebie powiedziały to samo. Ojciec mi się bardzo często śnił. Teraz już rzadziej, ale dawniej bardzo często. Ale właśnie, może taką charakterystyczną rzecz jeszcze powiem sprzed, z mojej młodości. Ja miałem spaskudzone zęby. I to w głupi sposób, ponieważ ja bardzo lubiłem pić w nocy lemoniadę, to znaczy wodę z cytryną i cukrem. A to jest na zęby fatalne po prostu. W związku z tym ciągle musiałem chodzić do dentysty. I była taka dentystka w AWF-ie, ale taka od siedmiu boleści, i w końcu się rodzice zdenerwowali, i wyszukali wspaniałego dentystę, tylko niestety na drugim końcu Warszawy, na Mokotowie, przy Placu Unii. Ale tramwaj dochodził z Bielan aż na Plac Unii. I jeszcze kawałek dalej. Tak że ja jednym tramwajem... Z początku mama mnie tam woziła, ale po paru razach powiedziała: „Jacek, jesteś duży chłopak – tam ja miałem siedem lat chyba – to możesz sam jeździć już”. A wtedy, proszę pamiętać, nie było ani terroryzmu, ani bandytyzmu, dzieci nie porywali, w ogóle to był przyzwoity świat jeszcze. I proszę sobie wyobrazić, jaką nagrodę... Za to, że będę cierpliwy u dentysty, to dostawałem, nie pamiętam, pięć złotych czy dwa złote, już nie pamiętam, na to, żebym poszedł do cukierni Lardeliego, Lardeli był taki, nie pamiętam, gdzieś tam koło...

Anna T. Pietraszek: Na ulicy Marszałkowskiej chyba, prawda? – Niedaleko ulicy wspólnej. –

Jacek Karpiński: Niedaleko, tak. Teraz nie wiem, czy on jest jeszcze. I mogłem zamówić sobie tam moje ulubione ciastko z jakimś piciem. Bo nie z kawą, ale... I zawsze dostawałem te pieniądze. A w szkole jeden chłopak miał taki wspaniały gadżet, taki maciupki pistolet, srebrny, ale taki na 4 centymetry. Taki malutki. I on mi się bardzo podobał. Ale on powiedział, że może go sprzedać za 15 złotych. Czy za 10 złotych. I żeby zaoszczędzić, to ja nie jadłem tych ciastek u Lardeliego. Tylko zaoszczędziłem sobie i kupiłem ten pistolet. I ojciec pyta: „Skąd masz ten pistolet?”. I ja, zamiast powiedzieć prawdę, bo przecież to nic wstydliwego, to ja, nie wiem dlaczego, nie powiedziałem. Ojciec pyta: „Skąd masz ten pistolet?”. A ja nic. To pyta: „Zabrałeś komuś czy ukradłeś, czy co? Ja powiedziałem: „Nie” – „No to skąd?”. I ojciec mi zabrał ten pistolet, i powiedział: „Jak mi powiesz, to ja ci oddam”. I schował sobie do biurka. No i tak minął tydzień, dwa tygodnie, miesiąc, dwa miesiące. Ja przychodziłem tam bardzo często do ojca, jak ojciec siedział przy biurku, ojciec otwierał szufladę o tak niby coś tam grzebał, że widziałem, że tam ten pistolet leży. Ale nic nie mówił. Nie wymuszał na mnie nic. No dobrze. A ja widziałem ten pistolet i słowem nie powiedziałem. I chyba po pół roku ojciec bez słowa oddał mi ten pistolet i już o nic nie pytał. To też świadczy o jakimś takim... Tak. Bo jakaś taka... Bo dziwne postępowanie było przede wszystkim z mojej strony. Ale postępowanie ojca było bardzo dobre, uważam. Właściwe. Wierzył i oddał mi bez słowa.

Anna T. Pietraszek: Już nigdy nie pytał. Jak potem potoczyło się to życie bez ojca?

Jacek Karpiński: Słucham? – To życie bez ojca, Ap: ta chwila właściwie, bo zaraz zaczynała się wojna, już niedługo. – Och tak, za parę dni. – No właśnie. Za parę dni. To były takie... Zapasy się robiło. To taką skrzynię specjalną mama kupiła na zapasy. Niby przeciwgazowa. Wszyscy mieliśmy maski przeciwgazowe. A byliśmy na tym Dolnym Mokotowie, na ulicy Obserwatorów 22. I pierwszego dnia wojny... akurat niedaleko były Forty Mokotowskie. I Niemcy zrzucali bomby na te Forty, ale nie bardzo celnie i kilka bomb upadło bardzo blisko naszego domu. Wszystkie szyby wyleciały. I nie wiem, dlaczego, ale ja wtedy po raz pierwszy w życiu zareagowałem historycznie. Potworny strach. I niedaleko była królikarnia z takim... To takie wnętrze było, takie sklepienie. I wydawało mi się, że pod tym sklepieniem będzie bezpiecznie. I ja uciekłem razem z bratem pod to sklepienie, i tam siedziałem. Bomby były jeszcze raz. Ja nigdy w życiu takiego stracha nie miałem jak wtedy. Ja tam siedziałem do wieczora i przyszła siostra, i mnie stamtąd wyciągnęła. Powiedziała: „Przecież nie będziesz tutaj nocował. Jak trafi bomba, to trafi, ale nie ma się co bać”. I u mnie nastąpił wtedy jakiś taki przełom. W ogóle przestałem się bać. Przestałem. Do tego stopnia, że jak były następne naloty, to artyleria przeciwlotnicza jeszcze z pierwszych dni działała, polska, i strzelała w nocy, to były takie piękne koraliki. Bo jak artyleria przeciwlotnicza strzela w nocy, to takie jak gdyby koraliki leć w niebo. Jeden za drugim, takie baloniki. To pięknie wygląda. Kolorowe. To ja wychodziłem na dach nawet, pomimo że bomby spadały gdzieś tam, to ja na dach wychodziłem i obserwowałem to. W ogóle się nie bałem.